



Czesław Mirosław Szczepaniak urodził się 23 czerwca 1954 r. w Grójcu, w tzw. okolicach *Kwitnącej Jabłoni*. Pochodzi ze wsi Kopana pod Tarczynem k. Warszawy. Dzieciństwo spędził w szpitalach i sanatoriach (Warszawa, Zagórze k. Warszawy, Wleń k. Lwówka Śląskiego, Jastrzębie-Zdrój, Busko-Zdrój). W Białych ścianach chodził do szkoły podstawowej, w przerwach uczęszczałem do Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskich w Pamiątce k. Tarczyna. Młodość przeżywał w internacie (Zasadnicza Szkoła Zawodowa Nr 2 w Zduńskiej Woli), na stacji (Łódź-Bałuty), w czasie nauki w IX Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Łodzi, mieszkał w bursie (Łódź-Bałuty). Podczas dziennych studiów zamieszkał w akademiku (Warszawa Ochota i Jelonki). Jest absolwentem Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie (1980). Po studiach pracował jako instruktor PP „Dom Książki” (3 październik 1980 – 25 maj 1982 rok), a następnie na stanowisku dziennikarz w Młodzieżowa Agencja Wydawnicza RSW „Książka-Prasa-Ruch” (25 maja 1982 rok – 31 maja 1988 rok). Od 5 grudnia 1995 roku do 1 września 2014 roku był urzędnikiem w Państwowym Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych na stanowisku główny specjalista. Od 1 września 2014 roku jest na rencie.

Debiutował wierszami w dwutygodniku adresowanym do studentów Akademii Medycznej, „Nowy Medyk” (1973). W 1977 roku wydał w Wydawnictwie *Iskry* debiutancki tomik pt. *Mieliśmy Białe ściany*. Wydał 154 książki, w tym 143 nakładem własnym. Jego teksty ukazały się w 30 almanachach/antologiach. Poza tym był 109 razy laureatem konkursów literacko-dziennikarskich. Publikował w ponad 150 tytułach prasowych. Uprawia małe formy literacko-dziennikarskie.

W 2016 roku Czesław Mirosław Szczepaniak otrzymał tytuł Honorowy Obywatel Miasta Tarczyna.

ISBN 978-83-945398-0-1



CZ. M. SZCZEPANIAK
MAŁE I DUŻE WIERSZE

Czesław Mirosław Szczepaniak

MAŁE I DUŻE WIERSZE

Tarczyn 2016

**Patronat honorowy tomiku:
Barbara Galicz Burmistrz Tarczyna**

Opracowanie typograficzne, redaktor, korektor, skład i łamanie:
Alfred Kohn

Projekt okładki, fotografia:
Paweł Piotr Szczepaniak

© Copyright by Czesław Mirosław Szczepaniak
i Grażyna Szczepaniak

ISBN 978-83-945398-0-1

Wydawca: Gminny Ośrodek Kultury w Tarczynie,
ul. J. Stępkowskiego 17,
05-555 Tarczyn, www.gok-tarczyn.pl , e-mail: gok@tarczyn.pl,

Druk i oprawa:
Drukarnia J. J. Maciejewscy, 06-300 Przasnysz, ul. Gdańska 1

Wydanie I

Nakład: 500 egzemplarzy

Duże wiersze czasami krótko się pisze. Małe wiersze są jak listki figowe uczuć. Wymagają długiego czasu. Od czego to zależy? Nie wiem. Jak słowo daję.

Początkiem poezji jest zdziwienie. Poeta uczy patrzeć, rozmyślać i pytać.

Po liryki się zwykło sięgać, gdy proza życia dokucza i uwiera. W takich chwilach szukamy otuchy.

Dobra poezja rozjaśnia, a nie przygasza. Nas.

Małe wiersze dźwigają to, co w dużych wierszach jest *między wierszami*.

Wybuchła wiosna, zima zbiegła.
Brat do mnie zadzwonił: *Jadę do
Kopanej. Zabieram aparat, może
życzysz sobie jakieś zdjęcie?*

Jeżeli znajdziesz starą jabłoń, której
odbiła gałązka i zakwitł kwiat nie-
jednego dnia i nocy ... To pstryknij!

Brat odnalazł jabłoń w starym sadzie,
która spoziera na listki i kwiaty, co wybiły
z jej boku. Wiosną poczułem tren jesieni.

Przeczytałem w gazecie, że Chińczycy z jednej
z prowincji wytrzebili pszczoły i za karę muszą
sami zapylać sady. Wchodzą na drabiny z pędzelkami,
pszczoło pracują i pyłą, i wysysają nektar.
W moich okolicach *Kwitnącej Jabłoni*, które
są bardzo daleko *od Chińskiego Muru*, też
zaszła zmiana, o tym pisze pani J.S. w liście.
Cytuję jak jest, a co jest poza nawiasem:
(...) *praca w sadach bardzo się zmieniła. (...)*
Dziś tnie się drzewa, wycinając niepotrzebne odrosty.

Wiosną, aż do sierpnia, stosuje się duże ilości nawozów sztucznych doglebowo i dolistnie. Pryska się sady środkami owadobójczymi i roztaczobójczymi.

Trawy niszczy się herbicydami.

Dawniej w tym czasie stosowano obornik pod drzewa.

Między rzędami uprawiano ziemię.

W niszczeniu szkodników, których było niewiele, pomagała sama natura. Liczono na biedronki i to z dobrym skutkiem. Obecnie stosuje się nawet środki zapylające, bo pszczoł prawie nie widzimy.

Jesienią gałęzie drzew podpierano tzw. palikami, ponieważ nie mogły udźwignąć plonu.

Dziś się nie podpira. Drzewa są przycinane, mają krótkie gałęzie i radzą sobie same.

Nieraz obserwowałem jak w kwiecie pszczoła uwija się pomału. Patrzyłem jak pastuszek, co leżał na łące, i oglądał niebo przez babie lato. On bosi, siermiężny, z dołu; ja z góry, obuty ...

Nad stawem leciutkie ważki.
Pszczoły dźwigają nektar i pyłek.
Dalej sad i pola z miedzami.
Las znowu wszedł w łąkę.
I pomyśleć, że to wszystko
przeszło gdzieś na drugą stronę.

Szpaki nie miały dobrej reputacji
w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.
W czerwcu je przeganiano, gdzie
korona czereśni, która zapalała
sady. A gdy pojawiły się wiśnie,
też je płoszono. Świadkiem strachy
na drzewach. Po ich inwazji zostawały
wydziobane owoce do pestki.
Nikt nie stanął w obronie, żeby
powiedzieć bez ogródek – chwileczkę!
Przecież szpaki są zapracowane na
polach i w sadach. To nie tylko ptaki,
co czyhają na słodkie czereśnie i
wiśnie, co dopalają soki albo wspinają się
na sam szczyt tortu, żeby dosłodzić.

Że ptaki żerują na ugorach i
zapłociach, i wydłubują robaki.
Latem doglądają żubrów. Czyszcza je
z insektów, które są na grzbiecie, grzywie,
w uszach, oczach, a nawet w pysku. Poza tym
czekają na gzy, które piją krew brodaczy puszczy.
Szpacze menu: chrabąszcze, pędraki, turkucie,
dżdżownice, gąsienice. To, co pełźnie albo lata.

Jesienią szpaki zjadają resztki sfermentowanych owoców,
po których zwierzętom płaczą się nogi albo skrzydła.
Po prostu, nie trzymają pionu. A szpaki, które są na rauszu,
dzięki dehydrogenazie (enzym odpowiedzialny za rozkład
 C_2H_5OH) – 14 razy szybciej niż człowiek metabolizują alkohol.
Podobno dzięki temu są radosne od jutrzni do wieczora.

Szpakami karmiony - mówi się o człowieku
inteligentnym, sprytnym i przebiegłym.
Czyli: nie takim, co ma w głowie *fruuu*.

Szpaki w czarnogranatowych *garniturkach*,
z dziobami jak kogel-mogel. Z Kopanej, Bromin,
Skrzeczeńca, Pamiątki, Rembertowa, Tarczyna i Grójca ...

Było tak jak w ukropie, żeby przed deszczem zdążyć zgrabić siano.
Aby przed zmianą pogody ogarnąć to, co się jeszcze dało
zasłonić, by nie przemokło. Kiedy się chmurzyło, niebo stawało
w groźnych obłokach, wiatr robił się porywczy jak szalenie.
W powietrzu wisiało coś nieprzyjemnego jak kaprys losu.

Mak, chaber, rumianek, macierzanka, powój
wyziera ze zboża w stronę miedzy, bo zboże je
zagłusza. Dopóty kąkol i oset zadziera nosa,
dopóki go nie zetnie w żniwa kosa. Trzeba poczekać.

Sady wiosną giną w Bieli.
A jesienią płoną od jabłek,
złocą się od gruszek, śliwki
rzucają na nich ciemny fiolet.
Lato pachnie jak powidła.

Przylapany szpak na czereśni.
Chwila moment, a dziabnie
zapłoniony owoc. Na liściach
zostawi kropelki soku. Nabierze
wiatru w pióra i odleci, jakby
został wyrzucony z procy.

Należę do wielkiej rodziny ludzi z awansu,
wrzuconej do miasta. Z lekką nostalgią. O nas
Adam Mickiewicz z Nowogródka lakonicznie
napisał dwiesłowie: *Był sad* ...

Jako niedoszły sadownik, bez ogródek napiszę:
choroba moje dzieciństwo i młodość napęliła
smutkiem, więc kiedy wszedłem w wiek 60+, to
pomyślałem - wytnę jej taki numer w nagrodę.
I tym, co mam już za sobą, postaram się nacieszyć.

Tęcza. Tyle razy ją widziałem. W szczerym polu, sadzie i za lasem mieszanym. A nigdy jej nie spotkałem, żeby weszła do domu przez drzwi, mokre od deszczu albo przez okno zza firankę. Z oddali patrzyłem, jak uspakaja w sobie burzę. Dokonuje ablucji, rozmywa siedem kolorów. I znika.

Z tego, co piszę, ktoś może sobie pomyśleć, że mój feblik to sady, szczere pola z miedzami, łąki i kawałek lasu. A nade wszystko wysokopienne owocowe drzewa. Nie jestem w tym oryginalny, bo Leopold Staff, co był ode mnie starszy o 76 lat, a 22 lata przed moim urodzeniem w Grójcu, wydał tomik pt. *Wysokie drzewa*, który pnie się strofą: *O, cóż jest piękniejszego niż wysokie drzewa!* No właśnie, co? Odpowiem z niska: jabłonie, grusze, śliwy, czereśnie, wiśnie, orzechy włoskie, co kiedyś rosły w okolicach *Kwitnącej Jabłoni*.

Ale się w tych okolicach *Kwitnącej Jabłoni* porobiło, jakby wiatr szalenieć przeszedł. Mam już swoje lata, a nie wiedziałem, że *Opryskuje się sady preparatami, aby jabłka nie opadały i mogły nabrać kolorów*. To brzmi jak wierszyk, wydłubany z chmurki niepogody.

Nieraz cież mnie skaleczył albo zadra weszła pod skórę.
To wcale nie znaczy, że mam żal do krzewów i drzew. Na
wsi to rzecz normalna, jak to, że cię pies nabije na zęby,
a kot naznaczy pazurkiem, pszczoła użądli, czasami
potkniesz się o kamień, który byle gdzie popadnie.

Pamiętam jak nieraz - idąc łąkami - zerkalem na dziewczynki,
które zbierały kwiatuszki. I plotły wianki, i tak niewinnie chichotały.
A gdy szły rowem, co w trawach do kolan, skakały, jak w grze *w klasy*.
Były takie poruszone, jakby znalazły czterolistną koniczynkę. Może czuły,
że z bioder wyrosły im skrzydła. Wiaterek je schładzał, rozwiewał włosy i
poprawiał zmięte sukienki. Niosły do domu to, z czym podzieliła się
łąka.
To było widać po wianku oraz po sandałkach, które rosę ze źdźbeł wy-
skubały.

Moje strony rodzinne, gdzie krzewy ognistych porzeczek i
bladych. W sezonie było gorąco od truskawek i malin. Drzewa
płonęły od czerwca. Zaczynały czereśnie, po nich wiśnie.
A w czasie wakacji zatrzęsienie jabłek. Można było przebierać
w śliwkach. Pod jesień wisały wielkie bombki poślacanych gruszek.

Rosły też śliwy, które wpadały do kompotów albo do garnków.
Po wsi snuł się zapach smażonych na ogniu powideł. Na parapetach
stały w zapaskach soki. Gąsiorzy z winem upychano w piwnicach.
O tym, co się od wiosny do lata burzyło, widać było w słoikach.
Drzewa poznania i wiadomości. Na wschód od Warszawy.

W młodości zwykłem chodzić tam, gdzie rosły rachityczne drzewa,
chore, złamane, niektóre miały gałęzie poskręcane drutem albo
żerdź kuli pod pachą. Takie były kruche. Wśród tych drzew czułem się
tak jak swój wśród swoich. Ileż ja tym starym drzewom zawdzięczam.
Spozierałem na nie z dołu, a one patrzyły z góry przez liście. Zdziczałe,
bo nikt ich nie prześwieciał. Kwitły, wabiły pszczoły, rodziły kwaśne
owoce.

Upominam się o nie, nie dlatego, że jestem taki szlachetny, ale ...
ku pamięci, że nie zapomniałem o tym, jak do nich się przytulałem.

Odeszły wysokopienne sady.
Pocieszające jest to, że o tym,
jakie były wysokie jabłonie, grusze,
śliwy, czereśnie, wiśnie doskonale
wiedzą bosa trawa, na które owoce
ciapały. Jak do fartucha. W żdźbłach
wiatr zwijał liście. I upychał.

Ziemia obiecana opisana i sfilmowana.
O sadach wysokopiennych wzmianki
dojrzewają w starych gazetach i książkach.
Wszyscy hurmem rzucili się na drzewa
niskopienne, co rosną jak kolumny;
podwiązane do drutów, bez napięcia.
Drabiny po szczeblach odeszły. Do lamusa.

Mój sad dzieciństwa
spadł z otwartego nieba.
A kiedy zaczął owocować, to
dach nieba się zamknął. Na amen.

Kwiat zasypia w owocu. Nie-
mym świadkiem listki, co drżą.

Latem drżałem, gdy grad owoce i zboża tratował.
Widziałem jak trawa podnosiła się z kolan. Obite
owoce nie mogły do siebie dojść, więc spadały.

Gdy spadnie jabłko, mówimy, że ciapie w sadzie.
Jak w przysłowiu staropolskim. Niedaleko leży, obite.
Inaczej z gruszką, co wygląda jak żarówka, w którą jesień
wkłęciła słodkie lato. Upadnie i przygniotą ją trawy.

Lubiłem obserwować jak w sadach
uginają się gałęzie i musiano podstawiać
podpórki jak kule pod pachy. Dzięki temu
drzewa przeszły lato i jesień, bez złamań.

Wicher ciągnie drzewa i
wyciąga z korzeniami.
Ulewa zaciera ślady, żeby
wiatr na deszcz mógł zwalić.

Jesień pochmurna, bo jeszcze nie wie, jak się
pożegnać z latem. Błyszczący, gdy wyjrzą promienie,
które schłapią ostatnie liście, wiatr je dosuszy albo

wrzuci w tęczę, co jest półłukiem. Bez strzał. Jeszcze trzeba wybierać spad, czyli to, co niedaleko upadło od jabłoni. A potem przyjdzie szron i mgłę udepcze.

W dzieciństwie szare mydło rozpuszczałem w wodzie, a potem moczyłem w nim słomkę i wydmuchiwałem bańki. Dzięki temu odkryłem w szarości tyle kolorów. Że wszystko, co takie piękne, jest na dłuższą chwilę ...

Dzięki temu, że w dzieciństwie miałem łzami wypaloną poduszkę, wszedłem w młodość onieśmielony jak pacjent, co przeszedł niejeden szpital i sanatorium. Dość wcześniej zobaczyłem, co mnie czeka, gdy zacznę się zbliżać do starości. 60+. Choroba skraca dzieciństwo, wydłuża młodość.

Nieraz w dzieciństwie pytałem: co stracha polnego i na drzewach najbardziej straszy. I nikt mi na to nie odpowiedział.

Leżałem złożony chorobą. W łóżku. Z książką przy poduszce. W rozpiętej piżamie. Za oknem świeciła stolica Polski, od strony ulicy Siennej 60. Byłem na kwarantannie, jak chłopiec ze wsi Kopana, z której bliżej do Tarczyna niż do Grójca. Czytałem i zerkąłem na Białe ściany. A kiedy doszedłem do końca książki, wpadła do rozgrzanej głowy refleksja, jak zimny okład, że kiedyś będę tak pisał, żeby nikt nie czuł się sam.

Stara walizka - tekturowe pudło,
w którym puściły zamki. Tylko pasek
jeszcze jako tako się trzyma. Do tej
walizki przychodzą po stromych
schodach, co prowadzą na strych,
wspomnienia i przez kurz się przeciskają.

Oczywiście, że moja wioska była
zabita dechami i murowana. Sady,
pola, miedze, studnie, podwórka,
warzywniki i ogródki. Nocą widać

było jak małe i duże wozy wiozą
gwiazdy, które księżyc wykosił,
żeby niewidomi mogli przemycić oczy.

Nieraz pytam siostrę, czy nie ma moich listów, które w Białych
ścianach pisałem. Chętnie bym je przeczytał i opublikował, żeby
pokazać, jakie robiłem błędy, ile zjadłem przecinków i w porę nie
postawiłem kropki. Listy z dzieciństwa na wyslizganej kartce, niewyraźne.
Siostra odpowiada, że pewnie gdzieś są na strychu, bo z domu nic się
nie wyrzuca, gdyż zawsze może się jeszcze przydać. Więc poszuka.

Tych, którzy przekreślali mnie w dzieciństwie, było wielu,
więc chciałbym ich przeprosić. Tych, którzy byli nieliczni,
bo wierzyli, że dam sobie radę i nie będę się wstydził śladów,
ze wzruszeniem wspominam. Jedni i drudzy byli potrzebni.
Bez nich bym się nie rozruszał i tyle nie przeszedł. Już.

Póki byłem na siłach, przywlekałem się do Kopanej,
żeby pobyc pod pachami drzew, które pamiętały mnie
z dzieciństwa. Chodziłem. Byłem sam na sam i wyjeżdżałem.
I nie było nikogo kto by powiedział: *Zostań zamiast gonić.*

Przychodzi kiedyś czas, że człowiek
otrząsa się z bajek, baśni, przysłów i
słów, co nie wyrosły jak zakalec.

Jako dziecko słuchałem dorosłych. Nic nie mówiłem. Miałem
czas, aby się zastanowić i przemyśleć. I tak to trwało. Do 15 roku
życia, póki nie poczułem, jak budzi się we mnie męczyzna i
zaczyna coś mnie szturchać. Zacząłem zadawać głębsze pytania.
Podczas lekcji w Pamiętce zostałem wyśmiany przez całą klasę i
nauczycielkę, która nie wzięła mnie w obronę. I przygasłem. To było
jak pobudka. Niegrzeczne. Dzięki tej lekcji nauczyłem się dystansu.

Nieraz w dzieciństwie szypułkowałem truskawki. Wyciągałem
zieloną łodyżkę, na której osadzał się kwiat, a potem owoc.
To był zawiązany pępuszek. Ludzie mówili na wsi – *szypułka*.
Po pracy myłem owoce i układałem na talerzyku. Posypywałem
pudrem i rozgniatałem widelcem. Potem skrapiałem śmietanką.
Jadłem łyżeczką i czułem poziomki, które lekko przesadzają z cukrem.

Maki w ogródku. Rosły. Wiatr ich główki
potrząsał i było słyhać, jakby ktoś grał
szczoteczками na talerzu perkusji.

Wszystko się kurczy – pustoszeją tajemnice – nie ma śladów
na podwórkach, gdzie dzieci krzyczały: *Pobite gary ...*, *Kto się*
nie schowa, ten kryje ..., *Szukam ...* Zagasły zabawy *W dwa ognie*.

Jesień zaczyna od błota i mgły.
Dosładza gorycz w owocach. Widać
jak lato zaczyna przegrywać w zielone.
Coraz trudniej znaleźć czterolistną
koniczynkę, łatwiej trafić na dwuorzechy.

To, czego mnie uczono w dzieciństwie,
powoli zapominam. Jestem coraz łżejszy,
jakbym przeszedł przez niejedno sito.

Jak się obudzę, to szukam
ludzi, którzy mnie ciszką
opuścili. Nie sposób ich znaleźć
na nieprzetartych szlakach.

W porze siania ozimin wyjeżdżałem
do sanatorium, a wracałem, gdy siano zboże jare.
Pocieszające, że kwitły czereśnie i jabłonie.

Wielka Księga Ojca

Bryk albo jak kto woli – cegła. W miękkich okładkach.
Z pogrubionym wersalikiem **ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW**.
Na czerwonej okładce strony do grzbiety sklezione.
Nie było żadnej grafiki, wszystko jak spod deski kreślarskiej.
Kartki były cieniutkie jak biblijny papier, choć to nie ta klasa.
Jak się je przerzucało, to szeleściły jak liście z trenem lata.

W czasie wakacji ojciec nowy rozkład jazdy przynosił do domu,
a stary szedł w odstawkę pod węglową kuchnię. Służył za rozpałkę.
Wrywano z niego kartki, które podpalano zapalką i wrzucano
w gardziel kuchni, gdzie drewno przywalone węglem. Lubilem

patrzeć jak zwijają się strony. Płonęły czcionki, po których zostawały
czarne poskręcane wiórki, i z dymem fruwały do nieba.

Mój ojciec nie ruszał w podróż bez rozkładu jazdy.
Upychał go do skórzanej teczki. W czasie peregrynacji
konduktorów pouczał, że pociąg się spóźnia. Pokazywał
paluchem czas, jaki jest zapisany, czarno na białym.
Uczulał, żeby pamiętali o tych, którzy według pociągów
nakręcają zegarki. Nieraz pouczał załogę pociągu, że
punktualność to rzecz święta na kolei. Ba! Honor.

Mój ojciec miał w sobie coś z dyżurnego ruchu
albo zawiadowcy stacji. Był wytrawnym znawcą
kolejowych połączeń przez Polskę. Pociągów z
szerokich i wąskich torów, a nawet towarowych,
o których milczała Wielka Kolejowa Księga.

Jeżeli chodzi o matkę, to jej biblioteczka mieściła się
w torebce, w której trzymała bielusienkie rękawiczki,
wykrochmalone chusteczki, obszyte po bokach kolorową
nitką, flakonik perfum i modlitewnik, co miał twarde okładki,
jak hostia. Na pierwszej stronie była Matka Boska, zaś
ostatnia z Aniołem z wytartymi skrzydłami w niebiosach.
Książeczka miała format kobiecej dłoni, co zakrywa
pełen kłos ziaren, nad którym wisi jak miecz sierpień.

Wilka goni do lasu, o tym wie grzybiarz, co idzie z kijaszkiem i opalką, jaką miał *Czerwony Kapturek*, który wybrał się do chorej babci. Mój ojciec las traktował jak *Atlas grzybów jadalnych i niejadalnych*. Od lata do jesieni szedł, żeby się wyciszyć po pracy w kolejowych warsztatach. Nie był wędkarzem, więc chodził na grzyby. Przedzierał się przez iglaste gałązki albo listeczki, które wiatr szarpał. Tu można go było nieraz zdybać. Sad albo las; jego rewiry. Ziemia urodzajna albo piasek, który las przesyłał. Do domu wracał z wiklinowym koszyczkiem albo łubianką. Oto kolekcja grzybów, jakie przynosił z pobliskiego lasu. Był **borowik szlachetny**, co wynurzał się w mięsistym kapeluszu, w ciemnych odcieniach brązu, osaczonym na grubym, jasnym trzonie; **podgrzybek brunatny** – połyskliwy, w ciemnobrązowym kapeluszu, a pod nim leżał **podgrzybek zajączek** – taki gładki, w zamszowym kapeluszu, w kolorze oliwkowozielonym, z trzonem długim i wygiętym, jak zając do skoku; na sam wierzch kładł **koźlarza czerwonego**, znalezione w osikach, za torami, uważanego za największego borowika, w półkulistym kapeluszu, wypukłym

z białym trzonem. Nieraz ojciec mówił: *Synu, idź sprawdzić w południe, czy zza mchów nie wyskoczył kozak czerwony. Szukaj go i zetnij*. Szedłem tam, gdzie las pawłowski wrzynał się w pole i łąki stryja, gdzie się pasły jego chude krowy i konie, którym wychodziły żebra głodem pomarszczone. Jak mój stryj Bolek. Ale wracajmy do ojcowskiego koszyka, czyli łubianki, gdzie na dnie leżał **maślak zwyczajny**, co miał w kapeluszu igły sosny, liście i piasek, co z rosą nakapał, pokryty lepką, błyszczącą skórą. Zawsze się kleił i mazał. Jak ślimak. Maślak był odstępstwem od reguły leśników, która brzmi: *co weźmiesz z lasu, zostaw, nawet szyszkę, igielkę i listek, co upada po to, żeby go nie podnosić*. Kapelusz maślaka, jak mapa lasu, która drzewa iglaste i liściaste pomieszała z mchami i ziemią, co nie pobrudzą jej żadne buty. Drzewo się łamie i kruszy. Na samym dnie leżały **kurki**, czyli **pieprznik jadalny**, co rosł w skupiskach i mają złote małe kapelusze z postrzępionym brzegiem, zaś trzon jak wyjęty

całowy gwóźdź. A pod jesień w ojcowskich zbiorach pojawiały się zapiaszczone gąski zielone albo siwe, w kapeluszach z cieniątką skórką. Nigdy nie widziałem, żeby mój ojciec zbierał **opieńki miodowe**, o których mówił, że to *betki*, więc nie warto sięgać, jak po ulęgałki, co się dosładzają w trawach i liściach. Mój ojciec nigdy nie ścinał kijem grzybów trujących; omijał je półłukiem. Nieraz przed nim stanął **muchomor czerwony**, co wyglądał jak świecidełko na choince albo **muchomor sromotnik**, co przypomina kanię albo gąskę, albo **muchomor jadowity**, co jak zdarty z pieczarki. Obchodził **szatana** (goryczak żółciowy), co udaje szlachetnego borowika. **Krowiak podwinięty** też go kusił. Grzybów trujących nie traktował z buta albo z góry kijem.

Czasami się zdarzyło, że miał ręce zajęte. W prawej trzymał koszyk, zaś w lewej niósł rydze, które zwykły rosnąć wśród sosen i piachów. Ojciec ścisnął trzon, co dźwigał wklęsnięty duży kapelusz w kolorze zachodzącego słońce. Szedł do domu, jakby strzelał z flesza lasu.

Mój tata, jak przystało na grzybiarza, pozwalał zajrzeć do koszyka, dopiero gdy z lasu się wynurzył.

Oczywiście że po drodze się zatrzymywał, żeby zebrać komplementy od sąsiadów. Z Kopanej i Pawłowic.

Siewca od ziaren się nie uzależniał. Kiedy siał gorczycę nie gorzkniał, a gdy żyto – nie żytnił; nie owsiał, kiedy sypał z płachty; nie upszeniczniał w porze ozimin albo zbóż jarych.

Nasze księgi to pola, sady, lasy mieszane, łąki, ziemia. Tu się czytało z gałęzi, owoców i liści. A potem dodawało do tego, co się przyniosło ze Szkoły w Pamiętce, objętej lasem i ogrodem.

Kawki

Czarne z szarą głową i mniejszym dziobem niż gawrony. Gnieździły się w kominach *Szkoły Podstawowej im. Anieli i Wojciecha Małżonków Górskiego* w Pamiętce koło Tarczyna. Patrzyłem jak z kominów unosiły się stróżki dymu i nikt nie przeganiał kawek, którym było tak, jak niektórym u Pana Boga za piecem. Kawki z Pamiętki miały żerowisko w okolicznym sadzie, gdzie pięły się

pamiątkowskie czereśnie albo na polach Księżowoli.
Tu była ich spiżarnia. Krukowate ptaki, które nie mogą
żyć bez domostw. Gniazda kawek – jak mówił
pewien dekarz – są z patyków, przetkanych ziemią
i szmatami, wymoszczone sierścią, włosiem, źdźbłami trawy.
Komin z kawkami to była rzadkość w moich okolicach
Kwitnącej Jabłoni, ale nikt tych gniazd nie niszczył i
z dachu kawek nie płoszył, jak się płoszy szpaki.

Kiedy mijałem szkolną bramę, spozierałem na cynobrowy
dach szkoły, z dwoma kominami i piorunochronem. Czasami
pod *dębem Wojciechem* przystawałem, w jego rozstrzelanym
cieniu, patrzyłem i zdziwiony siedłem do klasy.
A podczas wakacji siedłem tam, gdzie szczere pola, zza lasem,
nad którymi wisiał skowronek, śpiewem przecinał zacisze.
Wisiał w powietrzu. Obserwował czarkę gniazda wciśniętą
w bruzdę ziemi, uplecioną ze źdźbeł, włosów i ... strachu.

Aż przyszły takie lata, że szkołę rozbudowano,
sad wyrwano do góry korzeniami, zniszczono szkolne
ogródki i wirydarze, a z mansard wykwaterowano nauczycieli
z rodzinami, z kominów zerwano plastry gniazd. Bez pardonu!
O kawkach z Pamiątki szybko zapomniano, jak o nomadach.
Więc zamiast rzucać kamyczek do szkolnego ogródka, rzucę
piórkiem, którym nie sposób nabić guza. Pamiątka bez kawek.
Nie dopuszczałem do siebie takiej myśli. Oto jaki byłem naiwny.

W porze zakwitania głogu wracałem do domu z Białych ścian. W szkole w Pamiętce witał mnie śnieżny głóg, co rósł przy drodze, co wiodła do Księżowoli. A za nim były sosny i dąb – niemy świadek wzlotów i upadków. Od 1925 roku. Po wakacjach, gdy pojawiły się owoce, czerwone, błyszczące i cierpkie, szykowałem się do wyjazdu, przed zimą i ciężkim mrozem, który wszystko bierze na serio, nawet żarty. Stałem pod głogiem, który ni to krzew, ni to drzewo. Rwałem owoce i ssałem aż do cierpkich pestek. Między ciernie wsuwałem rękę. Nieraz przez głóg miałem podrapane paluszki. Jadłem głóg, w którym wiosna wymieszana z latem, co zdążyło już ochłonąć.

Krytycy rozpisują się o *magdalence*, choć Marcel Proust jest patronem głogów, jabłoni, tarniny, winogron, wiśni i pocałunków matki przed snem. Na dobranoc. Nie wierzysz, to sprawdź, co zapisał w tomach z cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu*.

Pamiętam lekcje biologii w szkolnym sadzie
w Pamiętce koło Tarczyna. Pod drzewa nas
prowadził pan kierownik Józef Chodecki.
W okiściach czereśni piły pszczoły. A potem
szliśmy odwiedzić mrowisko pod sosnami.
Lekcje na świeżym powietrzu zamiast w klasie,
nie sposób zapomnieć. Jak dobry komentarz.

O umiar garści pytałem siewców, co sypali
ziarna z płachty. Resztę mi odpowiedzieli ci,
co się wspinali po drabinach z koszami.
Rwali czereśnie, wiśnie, śliwki, jabłka i gruszki.
Mówili, że świat inaczej wygląda z górnych szczebli.
Sporo mieli do powiedzenia ci, którzy skubali truskawki,
maliny i porzeczki. I ci, co dziabali w ogródkach.

Odwiedzałem też żniwiarzy, co mieli kosę z
pałąkiem. Za nimi szły kobiety z sierpem.
I wiązały w snopy pokosy, pełne ziarna.

Tylko nic mi nie powiedział mój sąsiad
pan Andrzej Zarzycki, mruk i pszczelarz.
Toromistrz kolei wąskotorowej, co pełną
parą sunęła od Warszawy Południowej do
Nowego miasta nad Pilicą via Grójec.

Zarosło szyny rdza chrupie, podkłady skruszały.
I nie ma nikogo, kto by ruszył na odsiecz i
upomniął się o bagaż przeszłości.

Nie przeszkadza mi to, że jestem ze wsi.
Wręcz przeciwnie!

Nie będę o tym więcej pisał, bo jedni pomyślą,
że się zbyt obnoszę, zaś drudzy dołożą, że jestem stuknięty ...

Patrzę i nie poznaję Pamiątki.
Przerzedzili szkolny budynek. Wyprowadzili
rodziny z mansard, a potem zabrali się za sad i
warzywniki i ule. A kiedy nabrali śmiałości, jak
neofici, to prześwietlili krzewy i drzewa z lasu, i
przerzedzają, co się da. Resztę dokona szosa E77,
która wymusza asfalt na polnych drogach,
żeby się ludzie mogli mijać. Jak w Warszawie.

Glosa w sprawie Kopany pod Tarczynem

Nieraz pisałem o tym, że jestem z Kopanej pod Tarczynem.
Ze wsi, gdzie chorzy i starzy najbardziej rzucają się w oczy.
Tu, gdzie psy ujadają na wszystkie strony okolic *Kwitnącej Jabłoni*.
A kiedy mężczyźni powracają z kościoła, to kobiety pytają: *jak było?*,
a chłopcy, jak zwykle, odpowiadają: *normalnie, ksiądz miał kazanie*.
W tym czasie, gdy ukradkiem skrobałem wiersze, mój ojciec siedział

w warsztacie i walił wielkim młotem, zwanym przez strażaków *chuligan*, i ciągle ktoś zaglądał, bo miał interes. Ojczulek miał zawsze pełne ręce roboty i wypchany portfel z zaskórniakami. Słuchałem jak klienci perorowali. Lubiłem patrzeć jak tata kręci głową i cichnie. Tłumaczy, rysuje, grozi suwmiarkę albo mikrometrem. Drapie się drewnianą miarką. Czasami się unosi gniewem, gdy widzi, że ktoś kombinuje i oszukuje *w żywe oczy*. Takich gości traktował jak opiłki, co spadły z tokarni na ziemię. Z buta. Wtedy myślałem tylko o jednym, żeby wieś Kopana trafiła na mapę Polski. Żeby ludzie wiedzieli o tym, że jest obok Pawłowic, Rembertowa i Pamiątki. 2 kilometry z hakiem od Tarczyna, który przycupnął przy krakowskiej szosie. Między Grójcem a Warszawą. Szukałem pretekstu, żeby dali szansę mojej wiosce. Żeby ustąpiły jej Szczaki, Runów, Głusków, Gołków, Zalesinek i Zalesie. Latami o Kopanie pisałem. Nie mówiłem, rzecz jasna, głośno, żeby czasami mnie nie wyśmiali. Dziewczynki i chłopcy z miast. Z mapy Polski, na której pominięto Kopanę, co jak pesteczka siedziała w gnieździe jabłuszka. Cichutko. Pisałem i starałem się trzymać pion, żeby ziomkowie nie myśleli, że zadzieram noska. W moich stronach traktowano mnie jak kogoś, kto ździebko się spóźnił. I przez moją siostrę przesyłali życzenia. Minęły lata. Doczekałem wnuków i zszedłem na dziady. Jestem starszym panem z siwą bródką, chudy jak pajączek. Wreszcie nabyłem praw *współstołownika*. A Kopana ma ulice. Jest na mapie GMINY TARCZYN. Świat zabity dechami zalano asfaltem. O!

Wzruszenie zawsze ma wyslizgane
policzki od łez i źrenice pełne światła.
Aby była pociecha, musi być przykrość.
Są łzy, które bez słów przeżykam.

Po lewej stronie, jak szło się z Kopanej do Pawłowic, rosły topole i szumiały groźnie. Nie drżały jak osika, z której Kain wyciosał pałkę, a Judasz się powiesił. Drzewa wysmukłe jak pędzelki z czubem potrafiły okiełznać nie pogodę. Mówiono, że to drzewa-piorunochrony, tarcze. Topole w porze kwitnienia rzucały *kotki* na drogę z *kocimi łbami*. Były przekleństwem dla alergików. Przetrwały wojnę, PRL, a nie dały rady III Rzeczypospolitej. I roztopolono topole, co rosły na granicy Wylezina i Pawłowic. Ciągnęły się szpalerem po Racibory i Kawęczyn. Tu, gdzie dzisiaj asfaltowa ulica Topolowa, rozrzutny wiatr dostawał z liścia i nie świrował.

Kiedy rozpoczynały się wykopki i czułem zapach ognisk, gdzie wypalono łąty i pieczono kartofle. Coraz częściej słyszało się słowo jesień. Antycypacją tej pory roku był

zbiór jabłek, kopanie kartofli, podorywki i zasiew ozimin. Znad pól unosiła się smużka dymu. Doświadczałem tego u dziadka na jego polu na Janówku. Paliliśmy ognisko i nagle starszej mojej koleżance z Kopanej przyszło do głowy, żeby włożyć mój palec do języka ognia. Oparzyła mi naskórek. Miałem bąbel. Ale wytrzymałem, bo chciałem skosztować świeżo upieczonego kartofla, w spalonej łupinie kożuszka. Jadłem i posypywałem solą. Po powrocie do domu, wszystko się wydało podczas ablucji. Matka podniosła larum: *Kto ci, synu, włożył palec do ogniska?! Miałem dymem wyszczypane oczy.*

Wiatr porwał popiół i tyle zostało z księgi ogniska.

Na skraju pawłowickiego lasu – za torami, co oddzielały Kopaną - była kraina szelestu, gdzie rosły osiki¹. Ni to drzewa ni krzaczory. Drżały, więc

¹ W drżące osiki lubił wejść mój ojciec, gdy szedł po mchach na grzyby. Był dziwnie spokojny, kiedy z nich wychodził. Widziałem jego uśmieszek. Lubiał kijaszkiem osiki sieknąć i postraszyć. Wspomnienie, które nie dociekam. Wiatrem przeszyte osiki zza torów. Między Pawłowicami a Kopaną.

nie mógł się wspiąć na nie żaden robak. A jeżeli mu się udało, to spadał na mchy, w których jesienią *kozaki*, czyli koźlarze czerwone, uchylały czerwono-pomarańczowe kapelusze. W mchy wgniatali się ci, których uwierało ciało przez miłość. Listeczki drżały, a oni nie mogli się uspokoić, póki nie nadeszło spełnienie. Tu konsumowali zakazane owoce. I stygli od ciepłej wilgoci. Drżeli, żeby ktoś ich nie nakrył. Mówiono, że tu czyha południca, co na miedzach depta rumianek i piołun, i spija rosę z bosej trawy. Nieopodal był pasek łąki w krowich plackach. A jeszcze dalej szlaczek wydeptany, więc łysy. Od polnej gruszy zaczynały się wrzosa, na których wygrzewały się jaszczurki. To była forpoczta lasu. Nieraz szedłem poboczem nasypu do *Górnego Dołu*. Piszę o tym, choć już nie ma świadków. Na drutach telegraficznych nie siedzą jaskółki. Zostały osiki przed pawłowickim lasem i garb nasypu - wspomnienie po *ciuchci*. W *Górnym Dole* słyszałem jak z szosy krakowskiej (E7) dochodziły szумы z dwupasmowej jezdni. Od Pamiątki. Siedziałem tyłem do ściany lasu, przodem do zachodzącego słońca.

Myślałby kto ... tak nieraz mówiła matka, gdy ktoś opowiadał o kimś niestworzone rzeczy. W tych dwóch słowach była ironia i sceptycyzm. Po prostu, chwileczkę!

Nie wiem, kiedy to się stało.
Wiem, że to było przed pierwszym
przymrozkiem, co za miedzą czyhał.
Zaczęto wrywać drzewa.
Piłami cięto. Od siebie do siebie.
Piłom pomagały siekiery. Pokotem
padały drzewa. Słoje zalewała żywica.
Potem tymi szczapami palono w kuchni.
Wyschnięte na wiór kawałki dokładano
do jałowca, gdy wędzono szynkę i pęta kielbasy.
Wysokopienne sady poszły z dymem.
I nie ma śladu, bo wiatr popiół rozdmuchał.

O szarej godzinie odezwał się
Jerzy Stachura-Junior z Gdyni:
*Dzwonię, żeby Ci powiedzieć, że
jadę przez Grójec i mijam
jabłonie całe w szadzi ...*

Zimną mgłą pomalowane
drzewa. Biel wyskubana z
czerni. Nagie sady jak linoryt.

27 listopada 2015 roku, piątek

Sen, 13 stycznia 2016 roku, środa

Przyjechałem do Kopanej. Wyszedłem na uliczkę przed bramą (ul. Działkowa 7) i zobaczyłem jak drzewa gubią jesienne liście i usypują dywan. Oto jakie powitanie zgotowały mi po latach. Zawstydzony wróciłem do sadu dzieciństwa, Lelum polelum, a liście, co spadły do fartucha ziemi, zerwały się na gałązki. Z powrotem.

Każdy z nas, kto pochodzi ze wsi, ma swoje *Soplicowo*. Urodzeni w mieście są przywiązani do ulicy i podwórka. Czym są te miejsca, dowiemy się, gdy przybędzie nam trochę lat i będziemy leciutko przygarbieni pod ciężarem rozmyślań. Nieraz omiatamy to, co nabiera wartości z czasem, choć rzadko je odwiedzamy, bojąc się rozczarowań. Onieśmiela nas początek życia, o którym z taką czułością pisał Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, że *Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!* Na starość wspomnienia z dzieciństwa są jak kocyk. Dogrzewają.

Jestem ten sam, co furmanką przyjechał do
Kopanej, z woźnicą, co trzyma lejce i bat, żeby
parę koni zaciąć, bo czas nagli. Jeszcze zdążyłem ...

A potem wsiadłem do *ciuchci* i odjechałem.
W Piasecznie się przesiadłem na pociąg z szerokich
torów, co był pod prądem. Jeszcze zdążyłem ...

Peregrynowałem *rzemiennym dyszlem*.
Nieraz byłem na wozie i pod wozem.
Z jednym słowem – chciałym. Jeszcze zdążyłem ...

Ból. Słowo nie w porządku.
Bałagani. Po sobie nie posprząta.
Uszczypliwe i tępe jak rysa.
Nieuważne jak cham.

Spotykałem lekarzy, którzy nosili *zbiegłe* fartuchy.
Niby Białe, a pełne kolorów. To byli ci, na których
najczęściej krzyczeli pacjenci: *Doktorze, ratuj!*

Kim ja bym był gdybym
pana profesora nie spotkał

zapewne siedziałbym w domu
zamknięty na klucz choroby

może bym gorzkniał w okolicach
Kwitnącej Jabłoni i zerkał na drogę
przez sieci firanki

albo
czekał na listonosza
z chudą rentą

przyklejałbym głowę
do radioodbiornika
może ćpał bym się telewizją i
o gazetach marzył
nikt by się o mnie nie upomniął
szybko bym się zestarzał i ...
nie chcę dalej pisać co by było
gdybym pana profesora nie spotkał

Wiersze miłosne.
Z pieszczot i spełnienia.
Cieplutkie jak dotyk.
Budzą. Przytulają.

Wspomnienia rozjaśniają codzienność.
Pani J.S. ze Starej Kopany m.in. pisze
do mnie, czyli mieszkańca Kopanej, co jest
przy stacji kolei wąskotorowej, którą skasowano.
Przeczytajcie: *Pan Ogrodny, biedronki z kawałkiem chleba,*
ślimaki z serem, krety, których jest coraz mniej, żerdzie, paliki,
gliniane garnki na płocie, wozy w drągach, na których leżały
snopy żyta, pszenicy czy owsa. Wszystko to mój dom rodzinny,
rodzice, codzienność w młodości, moja wieś Kopana.
Wspomnienia tak odległe, że może jeszcze piękniejsze,
niż były w rzeczywistości.

Czytam to, co pisze moja sąsiadka.
Co ja wypisuję? Ja to wiedzę. Rozmyślam.
Czasami pytam: gdzie to się wszystko zapodziało?
I milczę.

Pod noskiem buta
starta zelówka trzyma się
podeszwy. Z językiem gada
o tym, co przeszła. Z butem.

Od 1989 roku trąbią, że
Cała Polska biega!
Zachodzę w głowę i pytam:
a kiedy się rozpocznie akcja
pn. Cała Polska rozmyśla?

Historia ludzkości jest pełna pyszałków.
Jak to się przebierze, dopiero widać,
ile w tym blefu, siana, słomy i pustki.
Historia ludzkości to dzieje przemilczanych,
o których nie upomnieli się współcześni.

Los na przekór daje,
co inni nam zabierają.
Czas dzieli i upycha
resztę. W przemijanie.

Starość jest jak pestka,
która w miększu nie może
na dłużej usiedzieć. Tak ją goni.

Trzeba zaznać pogardy i odrzucenia,
żeby wziąć się w garść. Słowa delikatnie
oczyszczają, żeby skruszały, gdy wątpisz.
Z milczenia się biorą nasze zesłowania.

Pochmurny dzień.
Piszę pogodny wierszyk,
bo nad Polską niepogody.
Notuję. Niebo przeciera się z

groźnych obłoków. Na kartce
wysyp słów. Świadkiem cień ręki.

Wierszyki zaproszone smutkiem. W nich
można czasami znaleźć pogubione radości.

Miałem sen. Ptaki prosiły mnie, żebym
popilnował ich gniazd, gdy się oderwą.
Chciałem o coś zapytać, więc otworzyłem
powieki i ptaki zamknąłem w źrenicach.

Nie mogę sobie przypomnieć, czyli
znaleźć odpowiedzi na pytanie:
ile jest w pamięci zapomnienia, a
w milczeniu słów, co się nie pysznią?

Piszę, żeby już nikt
nie musiał obserwować
życia przez dziurkę

od klucza w ... szafie.
Żeby wiatr zwiewał.

Pamiętam jak w Poznaniu, w hotelu *Centrum Nikos* Ch. tłumaczył, ile świat Grecji zawdzięcza, za przykład podał słowo *bibliothēkē*. Czyli miejsce, gdzie się gromadzi druki zwarte i luzem. Kiedy wymawiał to słowo, usłyszałem szelest kartek. Mimochodem Zbyszek J. wtrącił: *Nikos, ja ciebie kocham za to, że masz Grecję w oczach, czyli światło.*

Biblioteki i czytelnie, dawne Kluby Międzynarodowej Prasy i Książki, które po 1989 roku zamknięto. Ileż ja w nich spędziłem czasu, pochylo-ny nad piramidką zszywek gazet i książek, co leżały jedna na drugiej, na topornym stole. Siedziałem na twardym krześle. Z notatkami i lampą z żarówką. Byłem wśród dawnych czytelników, którzy wiedzieli, jak obchodzić się z katalogami pełnymi fiszek; wypisanych taką kaligrafią, jaką dziś nie spotkasz. Przebywałem w czytelniach ogólnych, co wyglądały jak wielkie hale z rozstawionymi stołami jak w warsztatach. Powracały do mnie wspomnienia z małych bibliotek szkolnych, w których były książki obłożone w szary papier,

w który m.in. pakowano śledzie, jeżeli się tylko pojawiły w sklepach. W czasie pracy nieraz przychodził fragment z listu, jaki napisał do mnie, małego pacjenta, pan kierownik Szkoły Podstawowej im. Wojciecha i Anieli

Małżonków Górskich w Pamiątce koło Tarczyna, Józef Chodecki.

15 grudnia 1968 roku skreślił na papierze w kratkę: *Mirku – (...) Dobrze, że czytasz.*

*Czytaj, bo to i czas schodzi, i przyjemnie coś wiedzieć – a tyle się wie, ile się nauczy, a uczy się człowiek czytaniem. Czytanie to klucz do wiedzy – tak! Mirku - czytaj i gazety ...
a nade wszystko lecz się. Słuchaj swoich przełożonych, ich wskazówek, aby Ci na dobre wyszło. (...).*

Ileż czasu ja się w nich zasiedziałem! W małych miasteczkach i miastach metropoliach.

Ślęczałem pochylony nad *światłem druku* jak żebrak Gutenberga. Z mi-seczką.

Zawsze mnie rozśmieszało, gdy bibliotekarki informowały, że za chwilę będzie

wietrznie sali. Hurmem wychodziliśmy na korytarz, aby zapalić i napić się kawy

albo herbaty z plasterkiem cytrynki, co z cukrem pachniała jak pomarań-cza.

Żeby żdziebko się zwilżyć i rozmasować miejsce, gdzie kończy się szlachetna

część pleców. Uskutecznialiśmy stosowne rozmówki, w których dowcipne komentarze oraz ironia, jak to w Polsce. Na własne oczy widziałem takich czytelników,
jakich potem już w życiu nie spotkałem. Oni mieli coś pięknego w twarzy.
Byli delikatni w gestach. Większość to milczki. Wśród nich byłem ja, nieśmiały.
Stare biblioteki, czytelnie ... Z czasów, gdzie jeszcze nikt nie mówił o elektronicznych
nośnikach. Był zaczerniony papier, co się kurczy. Na korytarzu snuł się gęsty
zapach od dymu z papierosów i kawy, co szybko stygła w szklance na spodeczku.
Dziś takie coś jest nie do pomyślenia. Biblioteki są sterylne i niealergiczne.
Starzy czytelnicy mówią zatroskani, że gubią się wśród wirtualnych katalogów.
Że dawna biblioteka była powiernikiem Grecji, która nas łączyła. Nie była kłopotem.

Suche usta – pełna szklanka wody,
której nie ma kto podać.

Za rękę trzymają się zakochani,
niezależnie od pory roku.
Pod rękę idą Ci, co są razem.
Dziecko wyciąga ręce, żeby
do ciepła mamy się przytulić.
Na starość ręka wystaje zza
kołdry i szuka ręki ratunku.
W ręce mieszka najczulsze
słowo - dotyk.

Pomoc - siostra miłości.
Ma zawsze zajęte ręce.
Biegnie, żeby współczuć.

Graszce, kolejny zapisek

Zabiegana w domu i w ursynowskiej szkole,
gdzie cudze dzieci uczysz pisać, czytać, rachować i
dobrych manier. Przyklejona do wnuków, które
skubią serce po kawałku, jak pestki ze słonecznika.

Cóż ja bym bez Ciebie zrobił? – nieraz pytam.
Przecież sobie świetnie radzisz – odpowiadasz.
Wszystko jest na twojej głowie, w rękach, nogach,
która coraz częściej odmawiają posłuszeństwa.

A kiedy wychodzisz z domu z torbą książek i
zeszytów uczniów, to zawsze proszę, żeby
słońce spod chmurki wyszło, abyś mogła iść
z promieniami, co się nigdy nie brudzą.

Uważaj na siebie. Będę na Ciebie czekał ...
Mówię, stojąc w drzwiach, trzymając pęczek kluczy.
A potem słyszę Twoje kroki na schodach i
giniesz mi na kilka godzin. Jestem sam.

A gdy zbliża się południe, zerkam na zegar,
na niebo spozieram tak, jakbym prosił, żeby
moją Żonę ocuciły ciepłe parasolki deszczu,
a ściana wiatru uskrzydlała jej plecy.

Uspakajam się, gdy powracasz ze szkoły.
A potem siedzę z Tobą przy stole jak uczeń
w ławce. Czytasz, sprawdzasz zeszyty, i
pięknie się denerwujesz, jak kobieta z klasą!

Gdyby nie poniewierka po szpitalach,
sanatoriach, gdzie Biel kłuła w oczy.

Gdyby nie stancja, internat, bursa, akademik,
gdzie Biel dostawała kolorów.

Gdyby nie moja żona, która zamartwia się
na zaś i codziennie z dobra czyni zaczyn.

Gdyby nie to, o czym piszę w sześciu
linijkach, los dawno by mnie przetał.

Jak spotkają się dwie krople wody na
liściu, to łączą się i spływają jak wykapani.

Główkę zapalki o draskę musisz potrzebować,
żeby ...

Trzeba dobrze pogłówkować nad słowem,
żeby ...

Coś napisać na kartce i nie spopielić.

Tak przeżyć, żeby z przemijaniem się pogodzić, które
jest nieuchronne, w myśl zasady – co się zaczyna,
kończy się. Zapałka musi zgasnąć, żeby ogień rozpalić.

Kiedy mówisz żegnaj,
składasz daninę z powitań.

Na czczo.
Dwa słowa na jeden głód.

Tam, gdzie krzyczy tłum, że *tu jest Polska*, nie ma mnie
wśród tych, co krzyczą na Polskę. Jak krzyczysz to drzesz.
Jestem po stronie tych, co są, jak ten mały Polak z wiersza
Władysława Bełzy, który odpowiada jak uczeń, co patrzy
prosto w oczy ojczyźnie i ... potrafi radośnie się zasmucić.

Lubiłem słuchać, jak podkowa końska schodziła się
z drogą, na której kamień obok kamienia przysiadł.

Rozumiem – młot bije - nożyce tną – grabie
zawsze do siebie – szpadel jest, żeby nim kopać
– a pług, aby ziemię przewalić. Więc proszę
mnie nie pouczać, jak mam żyć i komu wierzyć.

Z czułością wspominam lekarzy, co byli
odważni, bo walczyli z chorobami.
Mieli sukcesy i porażki.

Z czułością myślę o pielęgniarkach,
przepraszam, siostrach od pocieszeń.
Ileż łez one roztarły?!

Muszę dodać słówko o salowych, kucharkach,
nauczycielach, wychowawcach, rehabilitantach i tych,
co w nocy nad nami czuwali. Zawsze gotowi z odsieczą.

Święto jest wtedy, gdy sprzątasz, czyli
wymiatasz z siebie to, co potocznie
zwie się zagniewaniem i nienawiścią ...

Zawsze ukrywałem się z pisanem.
Jak coś skreśliłem, to szybko chowałem
do chlebaka, żeby nikt mnie nie nakrył.
Podnosiłem z ziemi listek i go niosłem,
żeby ktoś myślał, że prowadzę zielnik.

Krótko piszę, bo
szybko się męczę.
I nie nadążam.

Kropla wszędzie się wśliźnie i
nie rozpuszcza tego, co zobaczy.

W jaki sposób to, co skończone, zaprasza
do siebie nieskończoność? - nie pytam,
bo znam odpowiedź - nie wiem.

W ocenianiu bądź ostrożny. Nie szastaj opinią.
Oszczędnie dobieraj słowa. Bądź na swój sposób
chyttry w pisaniu. Być może nie powinienem tak
pouczać, ale ... widziałem nieraz ludzi, o których
mawiali, że są tak wyważeni jak gołębie serduszko,
a kiedy puściły im nerwy, czyli zadrżały emocje,
to potrafili wyważyć drzwi na klucz zamknięte.

Zakochani czytają z oczu albo
z kącików ust, co są jak czereśnie.

Inni czytają z twarzy albo ręki, jak
Cyganki, które podskubują tęczę.

Najwięcej jest takich, co pochyleni,
łowią promienie *światła druku*.

Są tacy, co czytają z okien, kłamki
i wycieraczki przed progiem.

Czytać – testament alfabetu,
pierwszy *Elementarz*.

Nie mogłem zasnąć. Wierciłem się z boku na bok.
Był odpływ i przypływ bólu. I nagle pomyślałem o
Psalmie 129 (128), wers 3, który Jan Kochanowski
odhaczył: *Grzbiety nam srodze orali / nieznośnymi
plagami; (...)*. A Czesław Miłosz skomprimował:
Po moim grzbiecie orali oracze, długie znaczyli bruzdy.
Czułem jak po oraczach ruszyli siewcy, a potem żniwiarze.
Zasnąłem jak kamień, gdy ziarna oddzielano od kłosów.

Jako syn tokarza, starszego rzemieślnika specjalisty,
z Piaseczna Wąskotorowego, nieraz sobie zadaję
pytanie: jak wygląda warsztat, w którym odbywa się
przegląd kół, co toczą koleje naszego losu?

To przychodzi skądś i idzie dokądś.
Wiem o tym tyle, kiedy piszę. To ma
dobrą stronę, bo trzeba na siebie liczyć
i stukać w klawisze komputera, który
nieraz się zawiesza. A potem się zwijam,
jak spis treści. I poprawiam jak poduszkę.

EPILOG. Z wiekiem wszystko zaczyna ciążyć,
więc w porę powinniśmy to, czego nie zdążamy
objąć, albo podzielić albo sprzedać na pniu.

POSŁOWIE

Po słowach poetyckich można pozwolić sobie na uwagi końcowe. Tomik zawiera wiersze (małe i duże), które nie znalazły się w spisie treści wydanych poetyckich książek. Nie zdecydowałem się na wybór liryków o okolicach Kwitnącej Jabłoni, bo to by było za łatwe i chyba nie na miejscu.

Poetycki przewodnik opracowałem, jako odpowiedź na pytania: co? gdzie? kiedy? było. Oczywiście, że dla mnie są to wartości sentymentalne. Nie będę tego ukrywał, że tego już nie ma. Przeminięło jak chłopska furka i gospodarz z batem. Taka jest kolej życia i linia losu. Czasu się nie ubłaga, żeby zawrócił.

Wierszem próbowałem opisać Kopanę i sąsiednie wioski. Czyli moją okolicę, z której wyjechałem w 1957 roku. Byłem jak przyjezdny. Zakorzeniony i wyrwany. Szczepiony i przesadzany. Być może to, co zrobiłem, będzie dla niektórych trudne, ale ... proszę się nie załamywać. Są ludzie, którzy wytłumaczą i pomogą rozjaśnić światło druku.

Zapewne P.T. Czytelnicy pamiętają epilog Pana Tadeusza. Adam Mickiewicz opisał to, o czym marzy każdy, kto zaczernia papier. Poeta jest jak ten chłopiec, co poszedł w zarośla, żeby się poskarżyć. I miał farta, bo usłyszały go czujne żurawie. Nie trzeba było długo czekać, żeby Każdy ptak chłopcu jedno piórko zrucił, / A on zrobił skrzydła i do swoich wrócił. Piękna metafora.

Powrócić na własnych skrzydłach tam, gdzie zawiązano nasz pępek i nie rozbić się jak Ikar, który źle oszacował, to brzmi całkiem sympatycznie. Jak nie z tej Ziemi.

Spis treści

- 3 (Duże wiersze czasami krótko się pisze. Małe wiersze są jak ...)
- 5 *** Wybuchła wiosna, zima zbiegła.
- 5 *** Przeczytałem w gazecie, że Chińczycy z jednej
- 6 *** Nieraz obserwowałem jak w kwiecie pszczoła
- 7 *** Nad stawem leciutkie ważki.
- 7 *** Szpaki nie miały dobrej reputacji
- 9 *** Było tak jak w ukropie, żeby przed deszczem zdążyć zgrabić siano.
- 9 *** Mak, chaber, rumianek, macierzanka, powój
- 9 *** Sady wiosną giną w Bieli.
- 10 *** Przyłapany szpak na czereśni.
- 10 *** Należę do wielkiej rodziny ludzi z awansu,
- 10 *** Jako niedoszły sadownik, bez ogródek napiszę:
- 11 *** Tęcza. Tyle razy ją widziałem. W szczerym
- 11 *** Z tego, co piszę, ktoś może sobie pomyśleć, że mój feblik to sady,
- 11 *** Ale się w tych okolicach *Kwitnącej Jabłoni* porobiło,
- 12 *** Nieraz cierń mnie skaleczył albo zadra weszła pod skórę.
- 12 *** Pamiętam, jak nieraz - idąc łąkami - zerkalem na dziewczynki,
- 12 *** Moje strony rodzinne, gdzie krzewy ognistych porzeczek i

13 *** W młodości zwykłem chodzić tam, gdzie rosły rachityczne
13 *** Odeszły wysokopienne sady.
14 *** *Ziemia obiecana* opisana i sfilmowana.
14 *** Mój sad dzieciństwa
14 *** Kwiat zasypia w owocu. Nie-
14 *** Latem drzałem, gdy grad owoce i zboża tratował.
15 *** Gdy spadnie jabłko, mówimy, że ciapie w sadzie.
15 *** Lubilem obserwować jak w sadach
15 *** Wicher ciągnie drzewa i
15 *** Jesień pochmurna, bo jeszcze nie wie, jak się
16 *** W dzieciństwie szare mydło rozpuszczałem w wodzie,
16 *** Dzięki temu, że w dzieciństwie miałem
16 *** Nieraz w dzieciństwie pytałem: co stracha
17 *** Leżałem złożony chorobą. W łóżku. Z książką przy
17 *** Stara walizka - tekturowe pudło,
17 *** Oczywiście, że moja wioska była
18 *** Nieraz pytam siostry, czy nie ma moich listów, które w Bia-
łych
18 *** Tych, którzy przekreślali mnie w dzieciństwie, było wielu,
18 *** Póki byłem na siłach, przywlekałem się do
19 *** Przychodzi kiedyś czas, że człowiek
19 *** Jako dziecko słuchałem dorosłych. Nic nie mówiłem. Mia-
łem
19 *** Nieraz w dzieciństwie szypułkowałem truskawki. Wyciąga-
łem
20 *** Maki w ogródku. Rosły. Wiatr ich główki

20 *** Wszystko się kurczy – pustoszeją tajemnice – nie ma śladów
20 *** Jesień zaczyna od błota i mgły.
20 *** To, czego mnie uczono w dzieciństwie,
21 *** Jak się obudzę, to szukam
21 *** W porze siania ozimin wyjeżdżałem
21 **Wielka Księga Ojca**
23 *** Wilka goni do lasu, o tym wie grzybiarz, co idzie z kijasz-
kiem i opalką,
26 *** Siewca od ziaren się nie uzależniał. Kiedy siał gorczycę nie
26 *** Nasze księgi to pola, sady, lasy mieszane, łąki,
26 **Kawki**
28 *** W porze zakwitania głogu wracałem do
29 *** Pamiętam lekcje biologii w szkolnym sadzie
30 *** Patrzę i nie poznaję Pamiętki.
30 **Głosa w sprawie Kopany pod Tarczynem**
32 *** Wzruszenie zawsze ma wyslizgane
32 *** Po lewej stronie, jak szło się z Kopanej do Pawłowic, rosły
topole i
32 *** Kiedy rozpoczynały się wykopki i czułem zapach ognisk,
33 *** Na skraju pawłowickiego lasu – za torami, co
35 *** Nie wiem, kiedy to się stało.
35 *** O szarej godzinie odezwał się
36 *** *Sen, 13 stycznia 2016 roku, środa*
36 *** Każdy z nas, kto pochodzi ze wsi, ma swoje *Soplicowo*.
37 *** Jestem ten sam, co furmanką przyjechał do
37 *** Ból. Słowo nie w porządku.

37 *** Spotykałem lekarzy, którzy nosili *zbiegłe* fartuchy.
38 *** Kim ja bym był gdybym
39 *** Wiersze miłosne.
39 *** Wspomnienia rozjaśniają codzienność.
40 *** Pod noskiem buta
40 *** Od 1989 roku trąbią, że
40 *** Historia ludzkości jest pełna pyszałków.
41 *** Los na przekór daje,
41 *** Starość jest jak pestka,
41 *** Pochmurny dzień.
41 *** Trzeba zaznać pogardy i odrzucenia,
42 *** Wierszyki zaprószone smutkiem. W nich
42 *** Miałem sen. Ptaki prosiły mnie, żebym
42 *** Nie mogę sobie przypomnieć, czyli
42 *** Piszę, żeby już nikt
43 *** Pamiętam jak w Poznaniu, w hotelu *Centrum Nikos Ch.*
tłumaczył,
45 *** Suche usta – pełna szklanka wody,
46 *** Za rękę trzymają się zakochani,
46 *** Pomoc - siostra miłości.
46 **Graszcze, kolejny zapisek**
48 *** Gdyby nie poniewierka po szpitalach,
48 *** Jak spotkają się dwie krople wody na
48 *** Główkę zapalki o draskę musisz potrzebować,
49 *** Tak przeżyć, żeby z przemijaniem się pogodzić, które
49 *** Kiedy mówisz żegnaj,

49 *** Na czczo.
49 *** Tam, gdzie krzyczy tłum, że *tu jest Polska*, nie ma mnie
50 *** Lubilem słuchać, jak podkowa końska schodziła się
50 *** Rozumiem – młot bije - nożyce tną – grabie
50 *** Z czułością wspominam lekarzy, co byli
51 *** Święto jest wtedy, gdy sprzątasz, czyli
51 *** Zawsze ukrywałem się z pisaniem.
51 *** Krótko piszę, bo
51 *** Kropla wszędzie się wśliznie i
52 *** W jaki sposób to, co skończone, zaprasza
52 *** W ocenianiu bądź ostrożny. Nie szastaj opinią.
52 *** Zakochani czytają z oczu albo
53 *** Nie mogłem zasnąć. Wierciłem się z boku na bok.
53 *** Jako syn tokarza, starszego rzemieślnika specjalisty,
54 *** To przychodzi skądś i idzie dokądś.
54 *** EPILOG. Z wiekiem wszystko zaczyna ciążyć,
55 ***POSŁOWIE***